

# Nie mogę powiedzieć, że byłem ateistą

Autor: Igor Sawicki



Mój ojciec był oficerem Wojska Polskiego – i ja też, po ukończeniu liceum ogólnokształcącego, podjąłem studia w Wojskowej Akademii Technicznej. Po jej ukończeniu rozpocząłem swoją służbę, przechodząc przez wszystkie stopnie oficerskie, od podporucznika do pułkownika. Większość tego czasu żyłem bez Boga. Nie chodziłem do żadnego kościoła, chociaż nie mogę powiedzieć, że byłem ateistą. Raczej mógłbym siebie nazwać agnostykiem – nie negowałem obecności Boga, ale z drugiej strony Jego istnienie było dla mnie obojętne.

Kochałem natomiast swój zawód – i pełniąc służbę na różnych stanowiskach, starałem się być oficerem wymagającym oraz sprawiedliwym, a jednocześnie prowadziłem dość „rozrywkowe” oficerskie życie. Teraz dopiero widzę, jak niedoskonałym wzorcem byłem dla moich podwładnych, chociaż wówczas myślałem inaczej. Tak naprawdę istotę zawodu oficera poczułem dopiero wówczas, gdy w 1993 roku oddałem moje życie Jezusowi Chrystusowi. Stało się to w następstwie marcowej ewangelizacji satelitarnej Billy’ego Grahama, która miała miejsce w tamtym roku. Z żoną zostaliśmy zaproszeni na nią przez naszą, wówczas 16 letnią, córkę Ulę. Moja żona, Ewa, już drugiego wieczoru powierzyła swoje życie Jezusowi. Natomiast ja, gdy podeszli do mnie dwaj młodzi ludzie, odpowiedziałem, że to nie jest dla mnie. Byłem już wówczas w stopniu podpułkownika, miałem za sobą ponad dwadzieścia lat służby wojskowej, i uważałem, że oficer powinien być silny i sam odpowiadać za swoje decyzje, czyny, życie, a nie powierzać ich niewidzialnemu Bogu. Uznałem to za swoisty akt tchórzostwa, braku odwagi, by swoją odpowiedzialność zrzucić na kogoś innego (w tym wypadku na Jezusa).

Od tamtego marcowego wydarzenia nasze domowe życie nie było już takie samo. Moja żona i córka coraz częściej spędzały ze sobą czas na modlitwie (później dowiedziałem się, że modliły się między innymi o mnie), zamieniły nasz dotychczasowy przedpołudniowy czas niedzielnych spacerów na czas nabożeństwa, a do naszego domu zaczęli przychodzić nowi znajomi, z którymi starałem się dyskutować o chrześcijaństwie. Trudno nam było znaleźć wspólną platformę dyskusji, gdyż oni używali argumentów z punktu widzenia Boga (opierając się na Biblii z zapisanym w niej Słowem Bożym), ja natomiast używałem argumentów pełnych idei humanizmu: człowiek jest najważniejszy.

Jednocześnie widziałem, że dwie najbliższe mi osoby – żona i córka – zaczęły się zmieniać. Nie mogłem określić, na czym te zmiany polegały, ale był w nich jakiś większy ładunek dobra, łagodności, miłości... Starałem się to zrozumieć. Starałem się zrozumieć Boga, Jego działanie w człowieku, ludzkim umysłem. Podczas jednej z takich dyskusji moja żona powiedziała: „Bożego działania nie można objąć ludzkim umysłem, w Niego trzeba uwierzyć, na Niego trzeba się otworzyć”. Wówczas pomyślałem: jeśli ja, oficer, uważam siebie za człowieka odważnego, to czemu nie miałbym spróbować, tym bardziej, że nie mam nic do stracenia. Bo jeśli to nieprawda z tą całą Bożą miłością, jak mówią mi moi najbliżsi, to nic się nie stanie, ale jeśli to prawda... to ciekaw jestem, co z tego może wyniknąć.

Pewnego sierpniowego wieczoru tego samego, 1993 roku, będąc na spacerze w lesie, powiedziałem: „Panie Boże, jeśli jesteś i kochasz mnie, tak jak to mówią moi najbliżsi, to oto jestem. Nie będę się przed Tobą zamykał, ale też nie będę się do niczego zmuszał. Jestem

otwarty na Twoje działanie”.

Nie minął miesiąc od tamtego wieczoru, kiedy poczułem potrzebę uczestniczenia we wspólnej modlitwie z moimi domownikami, wspólnego uczestniczenia w nabożeństwach, czytania Słowa Bożego. A czytając je, poznając Jezusa Chrystusa, czułem potrzebę zmiany swojego dotychczasowego życia, większego oparcia swoich relacji z najbliższymi w rodzinie – żoną, córką, rodzicami, bratem – na miłości i zrozumieniu. Zobaczyłem też swój nie zawsze właściwy stosunek zarówno do przełożonych i kolegów, jak i podwładnych w miejscu pracy. Wreszcie w grudniu 1993 roku przyjąłem chrzest.

Zacząłem regularnie czytać Słowo Boże, a poznając je, uświadomiłem sobie, że otrzymanego daru od Boga nie mogę ukrywać, powinienem się nim dzielić z innymi, i to w środowisku, w którym Bóg mnie odnalazł – środowisku wojskowym. Chociaż w pierwszym okresie zastanawiałem się, czy stając się chrześcijaninem, powinienem nadal służyć w wojsku, to jednak ukazane w Nowym Testamencie przykłady żołnierzy i rzymskich oficerów (setników) pokazały mi, że moim problemem nie powinno być pytanie, **czy** powinienem nadal służyć w wojsku, ale pytanie, **jak** tę służbę teraz pełnić. I to pytanie pozostaje aktualne cały czas.

Razem z moim przyjacielem Darkiem, pilotem wojskowym, powołaliśmy do życia Chrześcijańskie Stowarzyszenie Wojskowe „Korneliusz”, którego głównym celem jest popularyzowanie w wojsku i innych służbach mundurowych Słowa Bożego oraz wzajemne wspieranie się w trudach i różnych problemach żołnierskiej służby. Sam Jezus Chrystus jest dla nas wzorem prawdziwego przywódcy, na którym może opierać się każdy oficer, a tak jak regulaminy wojskowe są obowiązkową lekturą każdego żołnierza, tak Słowo Boże jest doskonałym regulaminem naszego życia, zarówno wojskowego, jak i cywilnego.

W Słowie Bożym można znaleźć wsparcie w każdej sytuacji życiowej. Kiedy moja żona, Ewa, nagle zachorowała i okazało się, że jest to rak w postaci nieuleczalnej, czytanie Słowa Bożego i wspólne modlitwy każdego dnia dawały nam otuchę, że chociaż tutaj na ziemi nie ma już nadziei na wyleczenie Ewy, to jednak mamy to zapewnienie, że nie odchodzi w nicość, że spotkamy się tam, gdzie już nie będzie śmierci ani smutku, ani krzyku, ani mokołu... Kiedy wspominam tamten czas, z jakim spokojem Ewa przyjmowała to, co niedługo ma nastąpić, nie wyobrażam sobie, jak ja bym na jej miejscu się zachował, gdybym nie wiara i te wspaniałe obietnice zapisane w Słowie Bożym.

Świadectwo pochodzi z książki pt. "Sens mojego istnienia cz.II"